

# Krzyczkowski, Henryk

---

## Stanisław Kowalczyk

---

Przegląd Pruszkowski nr 3, 27-43

---

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Henryk Krzyczkowski  
Z cyklu „MOI PRZYJACIELE”

## STANISŁAW KOWALCZYK



Anna i Stanisław - zdjęcia z płyty nagrobnej

*Opowieść o życiu i śmierci mego przyjaciela, Staszka Kowalczyka, podzieliłem, zgodnie z chronologią wydarzeń, na cztery krótkie rozdziały, na trzy fragmenty mówiące o naszej znajomości oraz na fragment czwarty, w którym opowiem o naszych staraniach i zabiegach dla utrwalenia pamięci o tragicznie zmarłym przyjacielu.*

*Rozdział pierwszy jest tylko uzupełnieniem opisu naszego, wspólnie spędzanego dzieciństwa na ulicy Stalowej, o którym opowiadałem w książce „Dzielnica Milionerów”.*

*W rozdziale drugim chciałem omówić pokrótce najszcześniejsze lata w życiu Staszka. Od roku 1937 - gdy przeprowadził się do Piastowa - aż do śmierci jego żony - Ani.*

*Rozdział trzeci - to krótki opis dwóch ostatnich lat życia Staszka. Były to lata intensywnej pracy twórczej. Twórczość literacką Staszka z tych dwóch*

ostatnich lat udało się nam odczytać. Niestety! Staszek, po śmierci Ani, myśląc o samobójstwie, zniszczył całą swoją twórczość, swoje wiersze i krótkie opowiadania, powstałe w poprzednich latach. W tym rozdziale umieścę najciekawsze - w moim przekonaniu - wiersze napisane przez Staszka.

Rozdział czwarty jest opisem starań i zabiegów dwóch przyjaciół Staszka - Andrzeja Willa i moich - o zachowanie i utrwalenie pamięci o Staszku. Taka będzie moja opowieść o zamordowanym przez Niemców młodym poecie i o naszej przyjaźni.

## Rozdział I

Staszek urodził się w Rosji, w mieście Tuła, słynnym z produkcji samowarów. W roku 1915 zostali tu przywiezieni rodzice Staszka: ojciec - Konstanty Kowalczyk i matka - Józefa, z domu Staniszevska. Przed wojną rodzice mieszkali w Pruszkowie; ojciec był pracownikiem Warsztatów Kolejowych Drogi Żelaznej Warszawsko - Wiedeńskiej. Na początku roku 1915, w obliczu nowej niemieckiej ofensywy na Warszawę, ewakuowano w głąb Rosji Warsztaty wraz z pracownikami. Ewakuacja była przymusowa. W Tułe urodził się Staszek.

W roku 1919, po śmierci męża, udało się matce z wielkim trudem wy dostać z ogarniętej już rewolucją Rosji. Matka z dwuletnim synem powróciła do Pruszkowa, do Niepodległej Polski. Zamieszkali w domu niedawno odbudowanym ze zniszczeń wojennych, przy ul. Stalowej nr 21, w suterenie, w trzyizbowym lokalu, z oknami od podwórka. Przedsiębiorcza matka uruchomiła magiel, który miał służyć okolicznym mieszkańcom.

W tym lokalu, za dużym pokojem, w którym stał magiel, była niewielka kuchnia, a za kuchnią pokój stołowy i sypialny zarazem. Stasiak najczęściej przebywał w kuchni. Siadał przy stole stojącym pod oknem, patrzył na brzozy stojące na podwórku lub na obłoki płynące po błękitnie nieba. Wydaje mi się, że właśnie z okien sutereny chmury na niebie wydają się najpiękniejsze. Może dlatego Staszek tak często siadywał przy tym oknie?

Staszek po powrocie ze szkoły pomagał często matce przy pracy w maglu, gdyż matka każdego dnia pod wieczór była bardzo zmęczona. Właśnie przy pracy w maglu poznałem go pewnego dnia, gdy wraz z moim bratem - Jurkiem i matką przynieśliśmy bieliznę do maglowania.

W tym czasie Staszek ukończył już szkołę podstawową im. Kościuszki i był uczniem Gimnazjum Zana. Był to rok 1932. W tej samej klasie uczyła się, młodsza od niego, Ania Głowacka, jego przyszła żona.

Na wiosnę 1935 roku Staszek wysłał na konkurs swoje krótkie opowiadanie do redakcji ogólnopolskiego pisma młodzieżowego „Kuznia Młodych”.



Stanisław Kowalczyk i wielka miłość jego życia:  
Anna z Głowackich Kowalczykowa

plywała z pragnienia szybkiego usamodzielnienia się. W Polsce nadal odczuwano skutki światowego kryzysu gospodarczego. Niewielu ludzi zdawało sobie sprawę, że kryzys gospodarczy kończy się i następuje powolna poprawa sytuacji gospodarczej świata. Dla Staszka, obserwującego pogarszający się stan zdrowia matki, najważniejsza była obawa, że matki nie będzie stać na dalsze jego kształcenie. Gdy już nabrał przekonania, że będzie musiał zrezygnować ze studiów uniwersyteckich - niespodziewanie los zrzucił inaczej. W roku 1937, gdy kończył naukę w Liceum Eksploatacyjnym, matka została żoną właściciela restauracji w Piastowie. Matka nie musiała już tak ciężko pracować, a ponadto zniknęły kłopoty fi-

Zwycięzcą tego konkursu został Wojtek Żukrowski, kończący właśnie liceum Zana. Drugie miejsce, wraz z niedużą nagrodą, przyznano Staszce. Wynik Konkursu był wielkim sukcesem Gimnazjum i Liceum Zana. Był to także sukces polonistki, pani Stanisławy Ostrowskiej, a także jej męża - dyrektora szkoły Leona Ostrowskiego.

Staszek, po ukończeniu Gimnazjum Zana, po zdobyciu tzw. "małej matury", przenesi się do liceum zawodowego, aby po dwóch latach nauki rozpocząć pracę zawodową. Liceum Eksploatacyjne było wtedy częścią Szkoły Technicznej Kolejowej w Warszawie, przy ul. Chmielnej nr 88.

Decyzja o zmianie szkoły z ogólnokształcącej na zawodową wy-

nansowe. Magiel został sprzedany. Rodzina przeprowadziła się do Piastowa. Matka pomagała nowo poślubionemu mężowi w prowadzeniu restauracji, a Staszek zamieszkał wraz z babcią w kupionej, niedużej willi. Na facjacie zamieszkała babcia, a do dyspozycji Staszka pozostawały na parterze trzy pokoje i kuchnia.

## Rozdział 2

Staszek szybko zaprzyjaźnił się z ojczymem. Niespodziewanie uzyskał od niego propozycję, aby rozpoczął studia uniwersyteckie. Ta propozycja otwierała przed Staszkiem możliwość spełnienia najskrytszych marzeń, o wspólnych z Anią studiach na uniwersyteckim Wydziale Polonistyki. Maturę uzyskaną w Liceum Eksploatacyjnym musiał uzupełnić zdaniem dodatkowego egzaminu z języka polskiego, z historii oraz języka niemieckiego. Na wiosnę 1935 roku zdawał w kuratorium, jako „ekstern” dodatkowy egzamin, aby uzyskać prawo wstępu na Uniwersytet. Egzamin zdał. Droga do studiów uniwersyteckich stała przed nim otworem. Staszek mieszkał wtedy w Piastowie, w niewielkiej, „kwadratowej” willi, otoczonej ogródkiem, o który dbała, mieszkająca na facjacie babcia. Tam po raz pierwszy Ania odwiedziła Staszka. Babcia upiekła ciasto, przysłała matka. Była czarna kawa i jakieś deserowe wino. W czerwcu Staszek zdał egzamin na Wydział Polonistyki. Został przyjęty i w październiku 1938 roku rozpoczął uniwersyteckie studia. Ania była już na drugim roku.

Staszek wspominał ten pierwszy rok studiów jako najszczęśliwszy okres w jego życiu.

Lata spędzane wspólnie ze Staszkiem, na ulicy Stalowej, opisałem w książce „Dzielnica Milionerów”. Książkę zakończyłem opisem wspólnie spędzonego popołudnia, w ostatnią niedzielę pokoju. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co nas czeka, choć panował już nastrój zapowiadający zbliżającą się wojnę, choć ciągle towarzyszyła nam nadzieja: może będzie, a może nie będzie.

Wybuch wojny zmienił nasze życie. Zawałił się cały nasz dotychczasowy świat. W dniu 1 października nie rozpocząłem swoich studiów na Wyższej Szkole Dziennikarskiej. Tego samego dnia Ania i Staszek mieli uczestniczyć w inauguracji roku akademickiego na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Ania rozpoczynała trzeci rok studiów, a Staszek - drugi. Tymczasem okazało się, że już Hitler decydował o naszej przyszłości.

Staszek, po ukończeniu Gimnazjum Zana, stał się oficjalnym członkiem pruszkowskiego Gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Dwa razy w tygodniu brał udział w ćwiczeniach gimnastycznych, grał w koszykówkę w I drużynie „Sokoła”, uczestniczył w zajęciach Sekcji Te-

atralnej. O jego popisowej roli w amerykańskiej komedii „Dziś bez kłamstwa” pisał nawet „Kurier Warszawski”. W tym czasie tylko nieliczni, najbliżsi koledzy: Andrzej, Wittek Pakulski oraz ja, wiedzieli o tym, że pisze wiersze, że jest poetą.

Mimo zmiany miejsca zamieszkania, nadal popołudnia i wieczory, prawie każdego dnia, spędzał z nami w pałacu lub w parku „Sokoła”. Stawał się Staszek popularną w Pruszkowie osobą. Był uznanym, początkującym literatem, dzięki nagrodzie przyznanej przez „Kuźnię Młodych”, był świetnym gimnastykiem, dobrym koszykarzem, stawał się popularnym aktorem amatorskiego teatru, był studentem polonistyki, oraz - o czym wiedzieli tylko nieliczni - wielką miłością Ani Głowackiej.

To wspaniałe pasmo sukcesów Staszka przerwała wojna.

Runęło całe nasze dotychczasowe życie. Nowe - zupełnie inne, było niepodobne do poprzedniego, należało budować je od nowa.

Bardzo powoli następowała nasza aklimatyzacja do nowych warunków życia. Dla mnie Kampania Wrześniowa zakończyła się dość późno. Powróciłem do Pruszkowa 18 października 1939 r. W domu dowiedziałem się, że Staszek kilkakrotnie odwiedzał moich rodziców, pytając o mój los, o wiadomości o mnie. Gdy zjawił się u mnie, tuż przed Bożym Narodzeniem, zastał Witka Pakulskiego. Ucieszył go nasz widok. Pytał o nasze plany i zamierzenia. Rozmowa nam się urywała. Najczęściej milczeliśmy, patrząc bez słowa, na siebie. Nie mieliśmy odpowiedzi na pytanie Staszka, co teraz mamy robić?

Zapamiętałem, że wtedy Staszek pożyczył ode mnie „W stronę Swana” - mówiąc, że chce poszukiwać straconego czasu.

Zdawaliśmy sobie z tego sprawę, że już skończyło się bezpowrotnie całe nasze dotychczasowe życie. Nie było już wyższych uczelni, nie było naszego „Sokoła” z jego licznymi zajęciami, nie mieliśmy już chęci na spacer po ulicach Pruszkowa, zatłoczonych niemieckimi żołnierzami.

Pierwszy rok wojny nie sprzyjał naszym spotkaniom. Nie spełniły się, nie zrealizowały nasze plany i zamierzenia. Wojna bardzo nam skomplikowała nasze życie. Klęska Francji była kresem naszych marzeń o szybkim zakończeniu wojny, o przepędzeniu Niemców z Polski. Zostaliśmy zmuszeni do układania swego życia w zupełnie nowych warunkach. Nie znaliśmy innego wyjścia, jak podejmowanie pracy w niemieckich fabrykach. W zakładach przemysłowych, pracujących dla potrzeb armii niemieckiej. Nasze decyzje o podejmowaniu pracy w niemieckich przedsiębiorstwach wyływały z kilku ważnych powodów. Praca „u Niemca” zapewniała nam „Ausweiss” - zaświadczenie o zatrudnieniu, chroniące podczas coraz częstszych „łapanek” urządzanych przez żandarmerię na ulicach miast. Zarobki wypłacane nam według „przedwojennych” stawek,

były śmiesznie małe wobec wzrostu cen żywności o kilkaset procent. Przydziały kartkowe, na chleb i marmoladę, po przedwojennych cenach, były bardzo małe. Ważne stawały się „deputaty” - pracownicze przydziały żywności, po przedwojennych cenach.

Pracowałem w fabryce „Bruhn Werke” produkującej części do samolotów. Średnie zarobki wynosiły około 200 zł. Miesięczny deputat to: pół litra wódki, setka najgorszych papierosów „Haudegen” („Junak”), jeden kilogram „rąbarki” z kością - wieprzowej lub wołowej, jeden kilogram mąki i pół kilograma cukru. Do tego dochodziła dobra, pożywna zupa, wydawana w czasie przerwy obiadowej. Przydziały kartkowe to pół kilograma dość lichego chleba na osobę. Raz na miesiąc dostawaliśmy pół kilograma marmolady.

Nie wiem, dlaczego Staszek nie chciał podejmować pracy „u Niemców”, natomiast zdecydował się na małżeństwo z Anią.

W Piastowie, w fabryce „Tudor” produkowano akumulatory. Była to „zbrojeniowa” fabryka, wydająca „Ausweiss” chroniący przed „łapankami”. Mimo naszych perswazji, naszych namawiań, Staszek nie chciał pracować w „Tudorze”.

Po ulicach Pruszkowa wędrowały grupki niemieckich żołnierzy, słychać było głośną niemiecką mowę.

Gdy w dniu 27 lipca 1940 roku wybrałem się na ślub Staszka, stojąc na przykościelnym placu, rozłożyłem kupioną w kiosku na dworcu gazetę. Przeczytałem umieszczony na pierwszej stronie „Nowego Kuriera Warszawskiego” artykuł o nalotach Luftwaffen na Wyspy Brytyjskie, a także na atlantyckie konwoje. Poprzedniego dnia samoloty niemieckie zniszczyły statki o łącznym tonażu 65.000 ton.

Po niespodziewanej kapitulacji Francji, Anglia stała się „Wyspą Ostatniej Nadziei”.

A tymczasem w pustym kościele, zgromadziło się przed ołtarzem kilkanaście osób. Rodziny i najbliżsi przyjaciele. Anna Maria Józefa Głowacka miała wtedy 20 lat, a Stanisław Kowalczyk - 23 lata. Obydwoje przed rokiem byli studentami Uniwersytetu Warszawskiego. Podobno rodzice Ani odnosili się niechętnie do tego małżeństwa. Najbliżsi koledzy Staszka też nie popierali tego kroku. Jednak młodzi byli przekonani o słuszności podjętej decyzji. Ciężkie czasy? Spędzimy je razem! Będzie nam lżej!

Zamieszkali w Piastowie. Zabezpieczeniem finansowym była matka Staszka kierująca sprawnie restauracją. Na pewno byli szczęśliwi.

Nie odwiedzaliśmy ich w Piastowie mimo ponawianych zaproszeń. Staszek odwiedzał mnie, aby pożyczyć jakąś książkę. Najczęściej mówiliśmy o wojnie, dzieląc się zastłyszczanymi wiadomościami.

W kilka miesięcy później odbył się ślub Andrzeja Willa z Krysią Trapszo-Kwinto. To małżeństwo od początku miało opierać swoje warunki bytowania na skromnym wynagrodzeniu Andrzeja, który pracował jako malarz - lakiernik w Warsztatach Kolejowych. Jego wynagrodzenie miesięczne nie sięgało dwustu złotych. Dopiero gdy Andrzejowi udało się zmienić pracę i został rysownikiem w Biurze Konstrukcyjnym Fabryki Mechaników „Waverma”, jego zarobek wzrósł do 240 zł. miesięcznie. Znacznie lepsza była sytuacja finansowa małżeństwa Staszka, którego matka dbała o zaspokojenie potrzeb finansowych młodych małżonków.

W roku 1941 rozpocząłem pracę w Polskich Zakładach Optycznych. W dniu moich imienin, 15 lipca przed wieczorem, zjawili się u mnie Staszek, Andrzej i Witek Pakulski, który pracował w piastowskim Ośrodku Zdrowia jako pomoc medyczna. Tłumaczyliśmy Staszce na co się naraża, wybierając się do Pruszkowa bez „Ausweissu”, zaświadczenia z miejsca pracy. Wydawało się nam, że Staszek rozumiał grożące mu niebezpieczeństwo, jednak do rozpoczęcia pracy nie spieszył się, mimo, że w Piastowie, gdzie mieszkał, były Zakłady Kauczukowe i Fabryka „Tudor”. A był to czas, gdy niezwykła do tej pory armia niemiecka ruszyła na wschód. Nic na razie nie wróżyło klęski Hitlera.

Nasze argumenty nie trafiały Staszce do przekonania. W tym czasie Andrzej rozstał się z Krystyną. Nawet przyście na świat syna nie scementowało ich związku. Andrzej znalazł się bez mieszkania, gdyż w międzyczasie jego pokój w rodzinnym mieszkaniu przy ul. Stalowej nr 2, zajęła jego siostra Hania, po ślubie z Jackiem Kisielnickim, a w mieście nie było wolnych lokali. Z pomocą przyszedł Witek Pakulski, który namówił właściciela sąsiedniego domu, przy ul. Parkowej 12, do wynajęcia małego pomieszczenia na poddaszu. Okno umieszczone w suficie wychodziło na dach. Przenośny, żeliwny piecyk podłączono do przewodu kominowego; ściany były z desek. Na szczęście była podłoga. Nazwaliśmy to pomieszczenie „malarską mansardą”.

Nikt z nas nie spodziewał się tego, że dwuletni okres szczęśliwego pożycia małżeńskiego Ani i Staszka zakończy się tak tragicznie.

### Rozdział 3

W dniu 14 sierpnia 1942 roku, podczas porodu zmarła Ania, a w dniu 29 sierpnia zmarła nowo narodzona córeczka Ewunia. Zrozpaczony Staszek myślał o samobójstwie. Nie mógł sobie wyobrazić życia bez Ani. Przygotowując się do odejścia, zniszczył cały swój dorobek literacki: wiersze i drobne utwory pisane prozą. W tym najcięższym dla Staszka momencie nie byliśmy w stanie pomóc mu. Czekaliśmy wiedząc, że kiedy opuści go myśl o samobójstwie, na pewno znajdzie do nas drogę. Nawią-



że z nami kontakt. Pewnej soboty, przed wieczorem, zjawił się u Andrzeja. Był już tam Witek. Wkrótce i ja nadszedłem do „mansardy”. Wypiliśmy we czterech pół litra „bimbru” przyniesionego przez Staszka.

W drugiej połowie roku 1942, nie pamiętam czy żyła jeszcze Ania, czy już odeszła, spotkaliśmy się, nieodłączni przyjaciele: Andrzej, Staszek i ja, z redaktorem Grzegorzem Załęskim. Było to na Powiślu, w małej kawiarence, w okolicach ulicy Tamka. Do spotkania tego doszło z inicjatywy naszego dobrego znajomego - Witolda Matuszewskiego, naszego sąsiada z domu nr 16 przy ul. Ołówkowej. Dopiero po latach dowiedziałem się, że red. Załęski był już związany z Edwardem Osóbką - Morawskim, który tworzył Odłam Polskiej Partii Socjalistycznej, podporządkowany Krajowej Radzie Narodowej i komunistom. Po wojnie okazało się że red. Załęski był związany z Rafałem Prąga, późniejszym redaktorem naczelnym „Ekspresu Wieczornego”.

Podczas tego naszego spotkania dowiedzieliśmy się, że Załęski organizuje zespół współpracowników dla wydawania „Demokraty” - konspiracyjnego tygodnika, a także miesięcznika humorystycznego „Moskit”. Andrzej miał odpowiadać za szatę graficzną, Staszek miał dostarczać fraszki i różne wierszyki na aktualne tematy. Ja miałem być redaktorem „Moskita”. Dostarczany materiał miałem rozmieszczać na czterech kartkach formatu zeszytu. Redagowałem tylko cztery numery „Moskita”. Andrzej i Staszek współpracowali z „Demokratą” do końca.

Okupacja hitlerowska była okresem, w którym wybuchła eksplozja talentów poetyckich. Większość tych młodych ludzi, świetnie się zapowiadających, nie dożyła końca wojny.

1 listopada 1942 roku spotkałem się ze Staszkiem na pruszkowskim cmentarzu. Staszek przyniósł kwiaty i zapalił świeczki na grobie Ani i Ewuni. Na grobie stał brzozywy krzyż. Nagrobek zbudowano dopiero po śmierci Stacha. W pobliżu, przy sąsiedniej alei, jest grób mojego ojca. Będę tu pogrzebany. W pobliżu Staszka.

Staszek głęboko odczuwał śmierć Ani. Nie opuszczała go myśl, że niedługo połączy się z nią. Świadczył o tym „Testament”, który napisał w dniu 25 października 1942 r. Pewną równowagę duchową, chęć do dalszego życia, na pewno dawała mu współpraca z konspiracyjnymi „pisemkami”: najpierw z „Demokratą” i z „Moskitem”, a później z innymi wydawnictwami.

Pruszkowski muzyk - Stefan Wasiak - namówił go do napisania tekstów do komponowanych przez niego piosenek. Piosenki te kupowała i wykonywała, także po wojnie, znana pieśniarka - Ola Obarska.

Staszek używał wtedy pseudonimów: „Lapis” i „Ewana”.

Kiedy zaczął, w sobotnie wieczory, przynosić do „andrzejowej mansardy” swoje fraszki i wiersze, wiedzieliśmy już, że na szczęście, wyrwa się z głębokiej depresji, że minęło najgorsze.

Od jesieni 1941 roku, Lyłem uczuciowo związany z „Marianną”, z Marią Pruszkowską, którą w roku 1939 poznałem w Szkole Dziennikarskiej, przy ul. Rozbrat, a w roku 1941 pracowaliśmy, w różnych działach, w zbrojeniowej Fabryce „Bruhn-Werke”.

W pierwszych miesiącach 1943 roku „Marianna” zorganizowała nam wizytę u państwa Pruszkowskich. Stryj „Marianny” - Tadeusz, znany malarz, był przed wojną rektorem Akademii Sztuk Pięknych i twórcą „Bractwa Świętego Łukasza”. Ponadto był także znanym lotnikiem, posiadaczem awionetki. Jego przemiła żona, Zofia - „Zuzia” z domu Katarzyńska - była także malarką. Zajmowali obszerne mieszkanie na poddaszu, na facyjacie we własnej kamienicy przy ulicy Noakowskiego w Warszawie.

Razem z nimi mieszkał rektor Konserwatorium - Eugeniusz Dąbrowa Morawski, znany muzyk - kompozytor, autor m.in. poematu muzycznego „Świtezianka”. Zuzię opisała jej przyjaciółka - Maria Kuncewiczowa w książce o Kazimierzu nad Wisłą „Dwa Księżycy”. Zuzia to Flora, wiernie opisana. Cała trójka: Zuzia i dwaj rektorzy, byli wspaniałymi gawędziarzami. Godzinami można było słuchać opowieści o Kazimierzu nad Wisłą, albo o Paryżu, do którego jeździli przed wojną co roku.

W przytulnym mieszkaniu, na poddaszu, ze wspaniałymi obrazami znanych malarzy, siedząc w fotelach, popijaliśmy „bimber” z kieliszków zabarwionych na kolor ametystu. W takie wieczory poznawaliśmy Paryż widziany oczami zakochanych w tym mieście artystów.

Jednej soboty, podczas takiego spotkania, słuchaliśmy paryskich piosenek, śpiewanych przy dźwiękach fortepianu. Dobrze zapamiętałem niesamowite wrażenie, odczuwane przez nas, gdy wieczorem opuszczaliśmy to „zaczarowane poddasze”, jak mówił Staszek. Wyganiała nas „godzina policyjna”. Trzeba było uwzględnić czas potrzebny na dojście do dworca i godzinę odjazdu pociągu, tak, aby zdążyć do domu przed „godziną policyjną”. Marianna miała najlepiej. Mieszkała przy ul. Królewskiej nr 7. Musiała tylko wsiąść do odpowiedniego tramwaju. Nasze wizyty w domu przy ul. Noakowskiego zakończyły się z chwilą śmierci prof. Tadeusza Pruszkowskiego. Po aresztowaniu został rozstrzelany w ruinach getta. Tylko jeden raz odwiedziliśmy samotną Zuzię.

Staszek napisał kilka wierszy o tych naszych wizytach. Nie mam tego najlepszego. Gdzieś przepadł.

Z tego okresu, z pierwszych miesięcy roku 1943, pozostał jeden wiersz. Oto jego fragment:

...O miła moja, o miła moja, coraz mi dalsze są te lata,  
i nie mam na to ni rady, ni słów.

A może, może cmentarz?

Przy zachwaszczonym, zgniłym torze,

Gdzie szyny wrosły już w zieloną darni,  
Stąd widać biały, brzozywy krzyż i Twój grób.  
Tu, gdzie wędrowek wierny szlak,  
Czekasz, o miła, na mnie dziś,  
A ja się spóźniam, spóźniam - leń,  
Na to ostatnie randes vous z Tobą.

\* \* \*

Gorzkie jest życie,  
Trudna jest śmierć.  
Gorszy, trudniejszy jest smutek  
Bo w nim i życie moje jest  
I będzie moja śmierć  
Bez Ciebie.

Na początku 1943 roku, Staszek, Andrzej i ja - odwiedziliśmy w Stawisku Jarosława Iwaszkiewicza. Staszek przyniósł kilkanaście swoich wierszy, prosząc o „surową ocenę”. Iwaszkiewicz był w niedobrym nastroju. Rozmowa miała przebieg urzędowy, oschły. Staszek miał przyjść za miesiąc. Później odwiedzał jeszcze kilkanaście razy willę „na Stawisku”. Ślady tych odwiedzin pozostały w „Księdze przyjaciół” Iwaszkiewicza. Wydaje mi się, że jesień 1943 r. i wiosna roku następnego były okresem najbardziej intensywnej pracy twórczej Staszka. Powstało dużo dobrych wierszy, fraszek oraz kilka nowelek.

Wydaje mi się, że Staszek wtedy właśnie przestał myśleć o samobójstwie, dzięki wciągnięciu go w różne prace związane z wydawnictwami konspiracyjnymi, a także inspirowany przez własne przemyślenia wynikające z rozmów z Jarosławem Iwaszkiewiczem oraz wsłuchiwanie się w paryskie wspomnienia państwa Zofii i Tadeusza Pruszkowskich, podczas ich rozmów o sztuce, o literaturze, o muzyce.

W połowie 1943 roku zmieniłem miejsce pracy. Znajdującą się pod komisarycznym zarządem niemieckim fabrykę wyrobów metalowych ewakuowaliśmy z ruin warszawskiego getta do dawnej fabryki „Ortwein i Karasiński” we Włochach. Nadzorowałem przenoszenie galwanizerni. Zetknąłem się wtedy z pozostałymi jeszcze w getcie Żydami. Być może, że moje opowieści o niedobitkach getta posłużyły za temat kilku wierszy Staszka, poświęconych Żydom.

Jesienią 1943 roku, w „andrzejowej mansardzie” narodził się pomysł wydania tomiku wierszy Staszka. On sam wybrał, w jego przekonaniu najlepszych dziesięć wierszy, Andrzej narysował okładkę i kilka ilustracji. Kosztowało mnie to wydawnictwo 1.500 zł. Pieniędźmi podzielili się Staszek, Andrzej i pani Helena Kobusowa, urzędniczka zatrudniona w wyświetlarni

rysunków Biura Konstrukcyjnego Fabryki „Wawerna”. Kartki papieru, z wyświetlonymi rysunkami lub utworami poetyckimi wynosili z pilnie strzeżonej Fabryki: pani Helena Kobusowa lub Andrzej. Ja układałem je według ponumerowanych stron i zszywałem spinaczem. Egzemplarze wyrównywałem na mojej małej gilotynie. Tak powstał tomik poezji „Osty na wietrze”. Uważaliśmy to za specyficzną formę walki z okupantem. Egzemplarze były numerowane. „Nr 1” otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz. „Nr 2” jest moją własnością. Staszek zaproponował, abym wybrał wiersz, który mi się podoba. Wybrałem „Kołyśankę”. Na arkuszu papieru, poniżej tego wiersza, napisał „... Najuczynniejszemu z przyjaciół...”

„Osty na wietrze” wywołały spora sensację, nie tylko w Pruszkowie, ale nawet w Warszawie. Te 32 egzemplarze szybko się rozeszły. Nawet warszawskie antykwariaty poszukiwały wydawcy, aby kupić po kilka egzemplarzy.

Zachęceni powodzeniem, jakim cieszyło się nasze wydawnictwo, postanowiliśmy wydać „Kieszonkowy Kalendarz Kieszonkowca na rok 1944” z różnymi przysłowiami, fraszkami i powiedzeniami, mówiącymi o konieczności stosowania kradzieży, jako środka umożliwiającego przeżycie tych nadzwyczajnie ciężkich czasów. Pomysł narodził się w „mansardzie” Andrzeja, przy szklaneczkach napełnionych „bimbrem”, w obecności sześciu przyjaciół. Byli to: Staszek, Tadek Targowski, Witek Pakulski, Ali Morawski, Andrzej i ja. Stroną techniczną przygotowania tego wydawnictwa miał się zająć Tadek, który w Biurze Warsztatów Kolejowych pracował w wyświetlarni rysunków. Najlepsze rysunki są dziełem Andrzeja, resztę wykonywał Tadek, podobnie jak większość tekstów. Wydaje mi się, że najlepsze teksty pochodzą od naszej „piątki”. Dzisiaj trudno jest ustalić kto jaki tekst dostarczył. Najwięcej pracy w wykonanie „Kalendarza” włożył Tadek Targowski, on też sprzedał ponad pięćset egzemplarzy, rozprowadzając je po całej Guberni Generalnej, sprzedając je kolejarzom przyjeżdżającym z całej G.G. po odbiór wyremontowanych wagonów.

Nadal, prawie każdej soboty, spotykaliśmy się na strychu, w pokoiku Andrzeja. Omawialiśmy sytuację wojenną. Front wschodni zbliżał się do naszych ziem. Którejś soboty, w lutym lub w marcu 1944 r. Witek Pakulski przywiózł z Piastowa do swoich rodziców starą kobietę, która miała jakąś dziwną moc przepowiadania przyszłości. Przed wojną była właścicielką folwarku, gdzieś w okolicach Włodzimierza Wołyńskiego. Któregoś dnia pojechała bryczką do miasta, gdy powróciła, przekonała się, że męża, dwie córki i syna sowieci wywieźli w pociągu odjeżdżającym do Kazachstanu, a dwór obrabowali sąsiedzi - Ukraińcy. Przedostała się do Generalnej Guberni, zamieszkała w Piastowie i rozpoczęła pracę w Ośrodku Zdrowia, gdzie pracował Witek, student medycyny. Witek mówił o niej:

„młodsza pielęgniarka - starsza sprzątaczką”. W Ośrodku Zdrowia miała swój pokój. Personel Ośrodka to dwóch lekarzy, student medycyny, dyplomowana pielęgniarka i ta kobieta - uciekiniarka z Kresów Wschodnich. Była inteligentną kobietą, w wieku 50-60 lat. Witek opowiadał, że ta kobieta miała jakiś talent określania stanu zdrowia pacjentów Ośrodka. Jeśli powiedziała: „temu choremu nie warto dawać drogiego lekarstwa, bo on niedługo umrze” - to pacjent rzeczywiście po kilku tygodniach umierał. Witek mówił nam, że niektóre osoby śmiertelnie chore, wydzielają pot, o jakimś charakterystycznym zapachu, który wyczuwa lekarz z dużą praktyką. Jednak w jej wypadku potrafiła przepowiedzieć śmierć nawet osoby z jakąś błahą chorobą, albo całkiem zdrowego człowieka, który zginął po kilku tygodniach na przejeździe kolejowym pod kołami pociągu. Tajemnicze zdolności tej kobiety stały się głośne w Piastowie. Mówiono także o jej wróżeniu z kart. Stała się popularną w Piastowie wróżbitką.

Pewnej soboty przyjechała wraz z Witkiem, do Pruszkowa, aby wróżyć „postawić karty”, pani Julii - jego matce. Witek po kolacji kończącej wróżby, przyprowadził tę kobietę do „andrzejowej mansardy”. Dom rodziców Witka stał po drugiej stronie ul. Parkowej. U Andrzeja było wtedy kilku kolegów: Staszek, Ali Morawski, Tadek Targowski i ja. Ktoś z nas przyniósł butelkę „bimbru”, napełniono szklanki i rozpoczęło się wróżenie z kart. „Z kart” wyszło, że Andrzej rozszedł się z żoną i że pozna drugą kobietę, że Ali w tragicznych warunkach utracił swoją wielką miłość (rzeczywiście - Marysia zginęła w Treblince przywieziona z warszawskiego getta), ale że niedługo ożeni się. Przy Tadku nie widać było żadnej kobiety, a natomiast ja - niedługo miałem się ożenić. Byliśmy sceptykami. Wszystkie te rewelacje mogła usłyszeć od Witka. Zdumiało nas jednak to, że ta stara kobieta po rozłożeniu na stole „przełożonych” przez Staszka kart, popatrzyła to na karty, to na Staszka i bez słowa złożyła karty, szykując się do wyjścia. Powiedziała:

„- Ja panu kart nie będę rozkładała!”

Pożegnała się z nami i wyszła w towarzystwie Witka, który odprowadził ją na dworzec. Witek już nie powrócił do nas. Dopiero następnego dnia, gdy nie było Staszka, powiedział nam, że „w kartach” widziała bliską śmierć Staszka. Witek, który obserwował tę kobietę od dłuższego czasu, był wstrząśnięty tą informacją. Oczywiście nic Staszкови nie mówiliśmy. Pamiętam, że nalegaliśmy na niego, aby poszedł do pracy. Niezmiennie odpowiadał:

- Dajcie mi spokój! Wojna się kończy, a ja mam dla „Ausweisu” pomagać Niemcom?”

W sobotę, 15 kwietnia 1944 roku, odbył się mój ślub. Staszek z tej okazji wręczył mi wiersz, pięknie wykaligrafowany przez Tadka Targowskie-

go. W niedzielę u rodziców mojej żony - Hani Karlickiej - odbyło się skromne przyjęcie dla przyjaciół.

Nadal spędzaliśmy sobotnie popołudnia i wieczory u Andrzeja, natomiast w niedzielne popołudnia zbieraliśmy się w ogródku rodziców Hani. Pod rozłożystym orzechem włoskim rozstawialiśmy leżaki. Kiedy kończyliśmy długie rozmowy o wydarzeniach wojennych, Staszek niezmiennie czytywał nam jakiś nowy swój wiersz lub aktualną fraszkę.

Dokładnie omówiliśmy sprawę wydania tomiku z trzema krótkimi opowiadaniem Staszka.

Jedna nowelka była opowieścią Staszka o wrześniu 1939 r., spędzonym w Piastowie, druga była oparta na opowieściach Witka o pacjentach piastowskiego Ośrodka Zdrowia, a trzecia - najlepsza według mnie - opowiadała o „granatowym” policjancie, który otrzymał wyrok śmierci wydany przez Tajny Polski Sąd, za współpracę z Niemcami, za wydawanie ukrywających się Żydów. Do każdej z tych nowelek przygotował Andrzej ilustracje.

Rytm naszych cotygodniowych spotkań zakłócił wybuch Powstania Warszawskiego.

Tragedia Warszawy, dramat Obozu „Dułag 121” zburzyły nasz spokój. Oczekiwaliśmy innego zakończenia wojny. Przytłaczał nas widok płonącej Warszawy oraz wędrujący po ulicach tłum ludzi wypędzonych ze swoich mieszkań, otępiałych z nieszczęścia, poturbowanych, okaleczonych, rannych młodych ludzi, zgwałconych kobiet. Tragedia Warszawy przysłaniała trudności dnia codziennego. Ostatni raz rozmawiałem ze Staszkiem 11 lub 12 sierpnia 1944 r. Walił się nasz świat.

O śmierci Staszka dowiedziałem się od Witka Pakulskiego. Staszek został zastrzelony przez niemieckich żandarmów, tuż przy skrzyżowaniu drogi do Kań z torem kolejki EKD. Było to po południu dnia 23 sierpnia 1944 r. Któryś z mieszkańców pobliskich Otrębus, wyciągnął z marynarki zabitego Kennkartę z adresem. Matkę Staszka zawiadomiono tego samego dnia. Nie byliśmy na żałobnym nabożeństwie. Tego dnia trwała od rana w Pruszkowie wielka „łapanka”. Żołnierze niemieccy przeszukiwali dom po domu, wyłapując warszawiaków oraz młodych ludzi, zdolnych do pracy w Niemczech. Staliśmy we trzech niedaleko grobu, przy którym skupiła się rodzina Staszka i Ani. W dali płonęła Warszawa. Samoloty krążąc nad płonąca stolicą zrzucały bomby. Odgłos wybuchów dolatywał do ludzi skupionych na cmentarzu. Artyleria bombardowała Warszawę bez przerwy. Dzień i noc. Ciało Staszka spoczęło obok najbliższych: Ani i Ewuni.

A my, stojąc obok grobu, wspominaliśmy tę staruszkę, która przed kilkoma miesiącami, przepowiedziała gwałtowną śmierć Staszka. Wkrótce

żołnierze niemieccy wyciągnęli Andrzeja z jego „mansardy”. W nocy, tego samego dnia, został wywieziony do Breslau (Wrocławia) - gdzie już pozostał „na stałe”.

Pod koniec września matka Staszka odwiedziła moją matkę, prosząc abym przyjechał do niej, do Piastowa i przejrzał papiery pozostałe po Staszku. Spełniłem jej prośbę, ale nie znalazłem nic z dawnych utworów Staszka. Widocznie zniszczył wszystko po śmierci Ani, gdy nie opuszczała go myśl o samobójstwie. Zabrałem wszystkie nieliczne rękopisy i maszynopisy.

Wziąłem także dwie książki, i które stanowiły własność J. Iwaszkiewicza, gdyż były na nich dedykacje autorskie.

Książki te zawiozłem do Stawiska. Iwaszkiewicz bardzo zmartwił się wiadomością o śmierci Staszka.

W marcu 1945 roku, ponownie zjawiłem się w Stawisku. Zostałem zmobilizowany w LWP.

Trwała nadal wojna. Nie wiedziałem, kiedy się skończy i czy ja z niej powrócę? Postanowiłem spuściznę po Staszku przekazać Iwaszkiewiczowi. W dwóch grubych teczkach zmieściło się wszystko, co pozostało po nim. Iwaszkiewicz obiecał mi wtedy, że o Staszku nie zapomni, i wszystko co będzie mógł, ogłosi drukiem.

Gdy w roku 1946 zakończyłem swoją służbę wojskową, czekały na mnie w Pruszkowie trudne lata aklimatyzacji w nowych, trudnych warunkach życia. Tylko niekiedy, bardzo rzadko, myślałem o Staszku.

Trudne warunki życia przygniały i Andrzeja. Wrocław stał się miejscem jego zamieszkania. Powoli, dzięki swoim różnorodnym talentom, stawał się znaną i popularną postacią w tym mieście. Ustabilizował swoje życie prywatne, gdy po uzyskaniu rozwodu z drugą żoną - Heleną Bandrowską - ożenił się ze swoją studentką z Wyższej Szkoły Plastycznej - Ireną Lenartowicz. Pomyślał wówczas - podobnie jak i ja - o dawnym przyjacielu.

Wiersze Staszka ukazywały się w różnych pismach: w „Kulturze”, w „Kierunkach”, w pismach wrocławskich. Dopiero na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, udało się Andrzejowi zainteresować poezją Staszka profesora Uniwersytetu Wrocławskiego, Czesława Hernasa, kierownika Katedry Literatury Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, który zaproponował dobrze zapowiadającemu się studentowi - Stanisławowi Beresowi - temat pracy magisterskiej: „Stanisław Kowalczyk”. Wytypowanie tego studenta okazało się nadzwyczaj szczęśliwym posunięciem. W roku 1974 otrzymałem przesyłkę z Wrocławia. Była to kopia pracy magisterskiej Stanisława Beresia: „Stanisław Kowalczyk. Zarys monograficzny”. Był to dzień spełnienia naszych marzeń, jak powiedziałem w rozmowie telefonicznej z Andrzejem.

A wszystko zaczęło się przed kilku laty.

## Rozdział 4

Stanisława Beresia poznałem na początku lat siedemdziesiątych. Było to w nieistniejącej dziś kawiarni „Gong” w Alejach Jerozolimskich, tuż obok „Generalskiej Czapki” - okrągłego budynku Banku PKO.

Siedzieliśmy z Andrzejem przy stoliku stojącym obok okna, piliśmy kawę i patrząc na ulicę, wspominaliśmy dawną Warszawę. Andrzej nocował u mnie, na Żbikowie. Przyjechaliśmy razem. W kawiarni byliśmy punktualnie o umówionej godzinie. Niestety! Pociąg z Wrocławia spóźniał się. Gdy nareszcie zjawił się student, przepraszaający nas za spóźnienie, od razu wyruszyliśmy na dworzec, aby jak najszybciej być w Pruszkowie. Spacer po mieście rozpoczęliśmy od ulicy Stalowej. Pokazywaliśmy okna od pokoju Andrzeja, w domu nr 2, później staliśmy przy dwóch domach, gdzie niegdyś mieszkałem, pod numerami 18 i 17, a następnie weszliśmy na podwórko domu nr 21. Zaglądaliśmy w okna sutereny, gdzie niegdyś był magiel. Po obejrzeniu z daleka szkoły im. Kościuszki, udaliśmy się na ulicę Cedrową, do państwa Ostrowskich.

W Liceum im. T. Zana przed wojną był dyrektorem i nauczycielem matematyki pan Leon Ostrowski, a pani Stanisława Ostrowska, jego żona, niezapomnianą nauczycielką języka polskiego. Pan Leon wyciągnął stare bruliony, w których zapisywał wszystkie oceny dawnych uczniów. Dowiedzieliśmy się wtedy, że z matematyki Staszek był uczniem przeciętnym, średnim, że dobry był z polskiego, z historii oraz z geografii. Pani Stanisława zapamiętała Staszka: był najlepszym polonistą w klasie, tylko, że najczęściej „omijał” zadany temat.

Podczas dość długiej, miłej i ciekawej wizyty, piliśmy herbatę z konfiturą.

Na pruszkowski cmentarz pojechaliśmy taksówką. Trochę sprzątnęliśmy wiecznie zaniedbany grób Staszka i jego rodziny i na płycie ustawiliśmy znicz. Po chwili zadumy wyruszyliśmy do Komorowa, do przystanku kolejki, którą dojechaliśmy do Kań. Dawniej nie było tu przystanku. Poprzednio nie było istniejących tu dziś budynków.

Z przejeżdżającej kolejki, widząc nas, wysiadł dawny nasz przyjaciel z lat harcerskich, a kolega Staszka Kowalczyka z Gimnazjum Zana - Zbyszek Melion. Był prezesem Spółdzielni, która budowała pobliskie osiedle domków jednorodzinnych „Otrębusy”. Gdy poznał powody, dla których zjawiliśmy się w Kaniach, od razu opowiedział nam jak pragnie uczcić pamięć Staszka. Oto nie tak dawno, z przejeżdżającej przez Otrębusy wielkiej ciężarówki wiozącej ogromne głązy, kupił od szofera jeden z nich. Zrzucony z samochodu, leży w pobliżu skrzyżowania szosy do Nadarzyńna z kolejką WKD. Czeką teraz na okazję, gdy będzie tędy przejeżdżał jakiś potężny spychacz, który wepchnie głąz na ciężarówkę, która przewie-



zie go do Kań. Głaz będzie ustawiony na miejscu kaźni, wyryje się na nim trzy nazwiska, trzech rozstrzelanych wtedy mężczyzn. Pomysł ten nie został zrealizowany. Wkrótce po naszym spotkaniu zmarł Zbyszek Melion.

Ostatnim etapem naszej podróży była wizyta „na Stawisku”, u Jarosława Iwaszkiewicza. Pisarz, uprzedzony moim listem, oczekiwał nas. Po zakończeniu powitalnych grzeczności, pisarz wyraził swoje zadowolenie z faktu, że po tylu latach od śmierci Staszka, ktoś zajął się zbieraniem dokumentów i opracowaniem monografii o tragicznie zmarłym poecie. Stanisław Bereś wręczył Iwaszkiewiczowi ostatecznie dzieło profesora Czesława Hernasa - słynny już „Barok”, z odpowiednią dedykacją.

Bereś pilnie notował snute przez Iwaszkiewicza wspomnienia o Staszku. Nie pamiętam po tylu latach wielu fragmentów tamtej rozmowy. Zapamiętałem tylko, że autor „Starej cegielni” usłyszał od Staszka słowa „zaklinania” się pruszkowskiej młodzieży - „Jak kocham Pruszków” i włączył to zaklęcie do słownika bohatera swego opowiadania.

Po raz drugi usłyszałem opinię Iwaszkiewicza o Staszku: „To był zaśpiew na wielkiego poetę...”.

Pan Bereś otrzymał dwie tomy z rękopisami i maszynopisami Staszka. Okazało się, że część tych rękopisów otrzymał sąsiad z Podkowy Mitzner (Jan Szelaąg), który miał napisać jakiś artykuł o Staszku.

Na początku 1975 roku, otrzymałem grubą przesyłkę z Wrocławia. Była to oczekiwana przez nas praca magisterska: „Stanisław Kowalczyk. Zarys Monograficzny”. Praca liczyła 264 strony maszynopisu. W załączonym liście Bereś napisał, że przystępuje do przygotowania monograficznej książki o życiu i twórczości Staszka.

W roku 1990, gdy dotarła do mnie, wydana w Londynie, książka Stanisława Beresia „Już tylko sen...”, dowiedziałem się, że autor jest profesorem na uniwersytecie w Lille. Napisałem do niego list, donosząc mu, że wraz z Andrzejem cieszymy się z jego sukcesów naukowych, przypominając o danej nam obietnicy wydania książki o Staszku.

W odpowiedzi na ten list Bereś odpisał, że prawdziwy mężczyzna, a za takiego uważa siebie, nigdy nie zapomni pierwszej kobiety i pierwszych przeczytanych wierszy, o których powinien coś napisać.

Po kilku następnych latach otrzymałem list z Wrocławia. Bereś był już profesorem Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, a także wykładowcą na Uniwersytecie Wileńskim. W jednym z następnych listów dowiedziałem się, że w roku 2001 złożył w jednym z wrocławskich wydawnictw książkę monograficzną o Staszku.

Wydawnictwo stara się o dotację finansową Ministerstwa Kultury. Obiecuje wydanie tej książki w najbliższym czasie.

Andrzej Will zmarł we Wrocławiu w 1992 roku. Zmarli już wszyscy moi dawni przyjaciele. Tylko ja jeden jeszcze żyję.

Oto fragment pracy magisterskiej St. Beresia:

„... Praca ta powstała dzięki życzliwości i zabiegom przyjaciół Stanisława Kowalczyka: Andrzeja Willa i Henryka Krzyczkowskiego, którym pragnę podziękować za pomoc przy zbieraniu materiałów oraz danych o życiu ich towarzysza z lat młodości. Przechowali oni przez 30 lat utwory zachowane po poecie, i umożliwili pełny dostęp do nich, nie szczędząc przy tym niezmiernie cennych uwag oraz informacji”.

Chcę po prostu opowiedzieć, w jaki sposób uczestniczyłem w przedziwnym misterium, mającym na celu ocalenie sensu jednego życia. O tym, jak byłem świadkiem narodzin pewnej wizji człowieka, która egzystuje jeszcze w świadomości bliskich. Są to coraz bardziej krótkie strzępy pamięci, rozwiewające się wraz z upływem czasu i odchodzeniem ich nosicieli. Pragnę ukazać także zachowanie się ludzi w chwili gdy ujrzeli szansę wydobycia z niepamięci swojego zmarłego przyjaciela. Szansę, na którą tyle lat czekali. I tak oto stałem się świadkiem odtworzenia życia Staszka Kowalczyka.



Rodziny grób Kowalczyków na cmentarzu pruszkowskim, gdzie spoczywa Stanisław, Anna i ich córka Ewunia